

Zimno, psia krew.

Już po zmierzchu, śnieg sypie w oczy, ciężko się idzie. Cholerny samochód, popsuł się w wyjątkowo złym momencie.

- *Co tam mruczysz? Przypominam ci, przy mnie masz mówić tylko po niemiecku. Nawet jak bredzisz do siebie.*

- *Nic ważnego, panie komendancie* - odparł Walenty. - *Daleko nie zajdziemy w takiej zadymce. W najbliższej wsi odpocznijmy.*

Niemiec nie miał oporów. Mimo że był ubrany cieplej od Walentego, co chwila jęczał zmarznięty na kość:

- *Zgoda. Wiesz jak masz się zachowywać. W Ulm dobrze ci za wszystko zapłacę.*

- *Wiem, panie komendancie.*

Komendant miał na imię Josef i był mężczyzną pięćdziesięciokilkuletnim, wysokim oraz postawnym, przy tym siwiejącym o gładko ostrzyżonych włosach.

Postura Walentego wzbudzała za to politowanie, i niskim wzrostem, nieco przygarbioną figurą, i jednocześnie dziwnym chodem, utrzymującym Walentego w komicznym rozkroku.

W dwóch chatach było całkiem ciemno, a może nikt tam już nie mieszkał. Weszli więc na kolejne podwórko, dostrzegając światło świecy w domu.

- Jest tu kto? Halo! - krzyknął Walenty przekraczając próg chaty, zwykłej, drewnianej. Będąc w środku poczuł przyjemne ciepło. Niemiec poczłapał niepewnie za Walentym.

W przedsionku pojawiła się od razu młoda ciemnowłosa dziewczyna.

- Kim jesteście? - zapytała z niepokojem.

- Dobry wieczór, panienko - Walenty schylił głowę. - Jesteśmy robotnikami najemnymi. Idziemy w stronę Pobiedzisk, ale zadymka taka... Przespać się chcemy, choćby w stodole.

Dziewczyna bacznie oglądała mężczyzn, zwłaszcza wysokiego komendanta. Z głębi domu dobiegł głos starszego człowieka:

- Wpuść ich Ewa. W taką śnieżycę... - urwał w pół zdania.

- Wejdźcie więc - niechętnie przepuściła obu.

Walenty wyszczerzył bezzębny uśmiech, a komendant kiwnął głową w podzięcie.

Gospodarz o imieniu Jan liczył sobie około sześćdziesiąt lat. Siedział w bujanym fotelu, przykryty

kocem, grzejąc się przy piecu.

W domu było schludnie, czysto, wszystko odpowiednio poukładane.

- Dziękuję panu. Jestem Walenty, a to Józek - wskazał na komendanta. - Głuchoniemy biedaczek.

- O, to smutne. Siadajcie, grzejcie się. Ewa zrobi coś do jedzenia... A skąd idziecie?

- A różnie. W Leśnej trochę dłużej pracowaliśmy, ale Niemcy zabili nam szefa i tyle. Ciężkie czasy dla uczciwych ludzi - powiedział Walenty, dostrzegając ironiczny uśmiech dziewczyny na słowa "uczciwych ludzi".

Jan pokiwał głową:

- Ano tak. A może u mnie byście panowie porobili trochę.

- Wujku! - Ewa uniosła się. - Jest zima, jakoś sobie radzimy.

Jan zignorował jej słowa, bezpośrednio zwracając się do Walentego:

- Ech, wszystko na jej głowie. Zniedołężniałem przez zimę - puknął się w nogi. - Może z wiosną mi się poprawi, albo niech chociaż styczeń minie. No więc, zostaniecie trochę?

- Musimy się naradzić - rzekł Walenty. - Rano odpowiemy. Rano lepiej się myśli.

- Pewnie, prawdę mówisz - Jan uśmiechnął się i wskazał palcem na komendanta, którego Walenty nazwał Józkiem: - A jak wy się dogadujecie?

- Jak starzy przyjaciele - mrugnął Walenty. - Bez słów.

- To tak najlepiej... No, Ewa, przynieś wiśniówkę ze spizarki. Gość w dom... - Nagle spojrzał zmienionym wzrokiem, pytając niepewnie: - A co tam na wojnie, wiecie coś nowego?

- Niemcy już uciekają. - Walenty wzruszył ramionami. - Aż się po nich kurzy.

- A obozy? Słyszałem, że wywożą ludzi w głąb Szwabii.

- Ano, kto tam co wie? Niektórych podobno wywożą, innych rozstrzelują.

Walenty zauważył, że jego wypowiedź mocno zdenerwowała Jana i Ewę, chociaż starali się tego nie okazywać.

Napili się jeszcze trochę wina, a następnie Ewa zaprowadziła mężczyzn do stodoły, gdzie wśród słomy, siana i starych ubrań, zrobili sobie przyjemne legowisko.

- Ładne ma buty, pana kolega - zauważyła Ewa eleganckie brązowe buty Josefa, gdy ten wchodził po drabinie na zapole. Wyglądał zabawnie w tym połączeniu rozdartych portek i szykownego obuwia.

- To pół jego dobytku - odparł śmiało Walenty.

- A drugie pół?

- To ja - zaśmiał się, jak zwykle dwuznacznie.

- Niech wam będzie – rzekła wąpiąco, dodając poważnie: - W nocy nie wychodźcie za stodołę. Ostatnio głodne wilki blisko podchodzą.

Księżyc lśnił w pełni. Za drewnianymi dechami stodoły trzaskał śnieg, na dodatek coś się tam jeszcze krzątało: może lis, może dziki, a może te przeklęte wilki.

- *Panie komendancie, stary zaproponował nam pracę parobków...*

- *Zdurniałeś?*

- *Niech pan przemyśli. Teraz gorący czas. Nie lepiej przeczekać kilka tygodni? Tu nikt nas nie zidentyfikuje. W międzyczasie popracujemy nad wyglądem. Na starych granicach pewnie burdel i nagonka.*

- *W burdelu o mniej rzeczy pytają... A poza tym skąd wiesz, czy za kilka tygodni nie będzie goręcej.*

- *Ja myślę, jak przeżyć najbliższy dzień. Nic więcej. Tego mnie pan sam nauczył...*

Josef parsknął:

- *O tak! Najbliższy dzień, mówisz? Niech będzie... Zostańmy trochę.*

- *A potem zaprowadzę pana do Odry i tam się rozstaniemy.*

- *A dlaczego nie do Ulm? Mam tam ciotkę Rosamundę, tam będę mógł ci zapłacić.*

- *Wystarczy mi połowa tego, co ma pan schowane w podszewce butów.*

- *Taki cwany jesteś? Skąd wiesz, ile tam mam?*

- *Na tyle dużo, by zdezerterować.*

- *Ech, głupiś* - Josef odwrócił się na drugi bok. Jego głos stał się cichszy. - *Nie wiesz, że miałem zostać do końca likwidacji obozu? Swój rozum mam. Ruscy lada chwila tam będą. Co by się ze mną stało?!*

- *Pewnie to samo, co ze mną* - uśmiechnął się diabelsko Walenty. Po chwili dodał: - *Niech pan uważa na tę dziwkę starego. Żaden z niego jej wujek, a ona to Żydówka. Rozpoznaję takie na kilometr.*

- *O kim mówisz?*

- *O tej Ewie. Podejrzliwa suka. Podejrzliwa ze strachu.*

- *Ewa... Przyjemna z twarzy i figury. Szkoda, że nie spotkałem jej w obozie* - rzekł Josef, przeciągle ziewając, zupełnie nie przejmując się ostrzeżeniem Walentego.

Nastał kolejny ranek - mroźny, ale i słoneczny.

Mężczyźni obrządzili w oborze, a potem zajęli się reperacją dachu obory.

- Hej, jak wam tam idzie? - Gospodarz krzyknął do siedzących na dachu parobków. Josef odpowiadał akurat na krawędzi, od kilku minut wystawiając twarz do zimowego słońca.

- Elegancko, panie gospodarzu - odpowiedział Walenty.

Jan wolno spacerował po podwórku, w końcu oparł się o płot i patrzył smutno na zakręcającą dalej drogę.

Z domu wyszła Ewa, chwilę obserwowała mężczyzn na dachu, po czym podeszła do Jana:

- Nie podobają mi się. - Widząc brak reakcji Jana, dodała: - Coś ukrywają.

- Potrzebna nam ich pomoc - wyjaśnił sucho Jan. - Do czasu, gdy nie wróci Wojtek.

Ewa sposepniała natychmiast.

Na górze obory Josef, mierzący ich wzrokiem, wyszeptał do Walentego:

- *Takie życie ma swój urok.*

- *Jakie?*

- *Gospodarstwo, żona, dobytek, codzienne spokojne obowiązki. W cywilu byłem pisarzem i dziennikarzem. Wiedzieliś o tym? Ale w rzeczy samej, zawsze pociągał mnie taki świat. Hm... Szkoda, że się nigdy nie ożeniłem. Cóż, ta dziewczyna ma wiele powabu.*

- *Za przeproszeniem, panie komendancie, proszę nic nie mówić, gdy jesteśmy na zewnątrz. Zauważą coś podejrzanego i wypędzą.*

- *To nic mam nie gadać? Zwariuję przy tobie i tyle!*

Josef splunął wściekle w dół.

- *Jezus Maria... Niemcy!* - krzyknął nagle Walenty.

- Co? - Josef powiódł wzrokiem za kierunkiem wskazanym przez Walentego.

Na drodze biegnącej do wsi; na tej, którą sami szli kilka nocy wcześniej, pojawił się oddział niemieckiego wojska. Nie wiadomo, ilu ich było, gdyż ciągle pojawiały się nowe czwórki, idące zwartym krokiem, zdyscyplinowanie. Między nimi, po chwili pojawiła się furmanka ciągnięta przez konia.

- *Co robimy?* - zapytał ze strachem Josef.

- *Złaźmy z dachu. Lepiej schowajmy się do stodoły.*

- *Szybko, szybko, tak, tak... Do stodoły.*

Walenty krzyknął do stojącej na podwórku Ewy:

- *Panienko, panienko, Niemcy idą!*

Natychmiast podbiegła do gospodarza i pomogła mu dojść do domu.

Walenty i Josef ukryli się w stodole. Polak przez szpary drzwi obserwował smutny pochód wojska nazistów. W międzyczasie przejechały dwie furgonetki, przed którymi żołnierze natychmiast usuwali się na bok drogi.

Josef bał się wyjść ze słomy. Dobiegał stamtąd monolog pełen strachu i żalu:

- *Co robią? Przeszli już? Idą spokojnie? Nikt nie wchodzi na podwórze? Boże mój, Boże mój... Niech przejdą spokojnie. Błagam, Panie najmiłościwszy... Przeklęta wojna. Przeklęty kraj. Gdyby nie to wszystko pracowałbym na roli, ożenił się z taką dziewczyną jak Ewa i żył szczęśliwie. Wyrwać się stąd! Dotrzemy do Wahlheim, tam mam znajomego doktora Lange. On nam pomoże. Wrobili mnie, wrobili sukinsyny w tę wojnę!*

- *Ja idę z panem tylko do rzeki* - sprostował mimochodem Walenty.

- *Tak, tak, do rzeki... Przeklęta wojna. Przeszli już?*

- *A poza tym, mówił pan, że chce się dostać do Ulm, a nie do Wahlheim.*

- *Do Ulm? Bez sensu. Nie mam powodu by tam iść.*

- *Nie obchodzi mnie to. Tylko pan tak mówił.*

- *Wiem, co mówiłem, bydlaku... Brzydzą się tobą. Co noc próbujesz mi ściągnąć buty z nóg. Ja nie śpię. Nie śpię, odkąd tu jestem.*

- *Jesteśmy tutaj pierwszy dzień* - zadrwił Walenty.

- *Co ty bredzisz? Jesteśmy tu już tydzień* - zaprzeczył Niemiec skołowany.

- *Jeden dzień, wczoraj przyszliśmy. Ciii, Ewa na podwórku* - skłamał, by przerwać Josefowi.

- *Co? Wojsko może ją zastrzelić.*

- *Odważna dziewczyna.*

- *Odważna...* - przytaknął Josef.

Trwały długie minuty oczekiwania, podczas których komendant nie wydusił już żadnego słowa.

- *Przeszli* - rzekł w końcu Walenty. - *Poczekajmy jeszcze trochę.*

Na podwórku Walenty zastał Ewę przy studni. Miała ponurą minę. Walentemu przeszło przez myśl, że dziewczyna ma ciągle minę jakby była na jakimś pogrzebie.

- Ociepla się - zagadnął miło.

- Daruj sobie.

- Co?

- Myślisz, że nie wiem, kim jesteście?

- Tak? - zdziwił się Walenty.

- Albo jakimiś złodziejami albo szabrownikami. W każdym razie podobny gatunek buraka.

- To donieś na nas w mieście, idź, jedź rowerem - zaśmiał się niezrażony. - Dlaczego nie wychodzisz z podwórka, co? Kim ty w ogóle jesteś dla starego? Mówisz mu wujku. Wujek?

- Nie twój interes.

- A gdybym zapytał kogoś we wsi, to odpowie: niby siostrzenica, ale każdy wie, że to Żydówka. Ksiądz jej zrobił tylko lipne papiery.

- Zamknij się. Nie jestem Żydówką. Nic nie wiesz! - Bezszykownie starała się nie unosić głosu.

- Wiem więcej, niż ci się wydaje. Mam jednak propozycję: nie wchodźmy sobie w drogę, dobrze? Ja jestem bezdomny, mam dom wszędzie, ty wszędzie będziesz ukryta. Więc zamknij swoją śliczną buzię i nie podskakuj.

- Cham - plunęła mu w twarz.- Powiem wujowi, zgoni kilka osób i was załatwią.

- Nie pójdziecie po żadną pomoc - Walenty nie tracił opanowania. Ceremonialnie wolno ścierał ślinę z twarzy. - Nikogo tu nie zaprosicie. Wiesz, że przeżyjesz tylko wtedy, gdy nie będziesz wchodzić sąsiadom w drogę. Jeśli cię nie widzą, to akceptują. A mnie się nie bój. Ja jestem twoim jawnym wrogiem. Pobędę tu z Józką kilka tygodni i pójdziemy sobie dalej. Możesz być tego pewna.

Ewa zezłościła się na zachowanie koślawego robotnika. Usta jej zadrgały, policzki całe zaczerwieniły się. Szukała jakiejś możliwości zniewagi. Krzyknęła jeszcze głosem pełnym strachu i nienawiści do odchodzącego Walentego:

- A ten twój kolega też jakiś dziwny!

- Co przez to rozumiesz? - zatrzymał się lekko zaniepokojony.

- Wczoraj widziałam, jak obejmował powietrze i tańczył coś, co przypominało walca po stodole. Z kim on tak tańczył, co?

- Ze śmiercią - odparł dosadnie Walenty i odszedł.

Josef natychmiast się zainteresował:

- *O czym z nią rozmawiałeś przy studni?*

Walenty zamyślił się, zapalając papierosa:

- *Ogólnie.*

- *Miła jest?*

- *Bardzo* - powiedział po chwili zawahania.

- *Wydawało mi się, że cię opluła...*

- *Co? E tam... To miła panna, a przy tym lubi pana. Pytała, od kiedy pan jest głuchoniemy i czy to uleczalne.*

- *Drwiesz ze mnie* - wątpił Josef.

- *Naprawdę.* - Walenty spojrział oczami wyrażającymi głęboką szczerłość.

- *I co jej powiedziałeś?* - Niemiec zapytał z udawanym lekceważeniem.

- *Że chyba uleczalne i w sumie ma pan bogatą rodzinę, a gdyby nie wojna, to byłby pan gospodarzem na kilkudziesięciu hektarach.*

- *To akurat prawda.*

Nagle mniejsze drzwi stodoły otworzyły się:

- Do kogo gadasz? - Do środka weszła Ewa, niosąca garnek z zupą.

- Do Józka. Przyzwyczailem się do niego mówić, nawet jak mi nie odpowiada.

- Dziwacy... - skonstatowała. - Wujek źle się czuje. Zjedzcie obiad tutaj. - Spojrzała wyżej i zwróciła się do Josefa, siedzącego na stogu: - Złaż, obiad macie. Rozumiesz mnie?

Josef spoglądał miną pełną napięcia. Ewa machnęła ręką i wyszła.

- *Co powiedziała?*

- *Że obiad ci przyniosła. Chciała ci zrobić przyjemność.*

- *Tak?*

- *Dokładnie.*

- *Nie wierzę ci!* - wybuchnął Josef. - *Oklamujesz mnie, oklamujesz cały czas. I buty znowu chciałeś zabrać mi w nocy.*

Padł na nocne posłanie wyczerpany. Nie tknął jedzenia.

- *"Zbyt duża samotność, zagubienie - myślał Josef zupełnie złęczony. - Dłużej tego nie wytrzymam. Niepotrzebnie zdezerterowałem. Jak to w ogóle było możliwe? Ja, wyuczony według drylu pruskiego - uciekłem z wojska ze strachu! Teraz nie wiem, gdzie jestem, jaki dziś dzień, mogę odzywać się tylko do tego kłamliwego bydlaka. Jakież zagubienie! W jednej chwili straciłem swoją tożsamość i narodowość. W którą stronę mam uciekać? Dziewczyno zawieszona na drucie, mężczyzno spalony, starcze zagazowany, a wy? Czego ode mnie jeszcze chcecie na tej pomyłonej ziemi?"*

Wydawało się, że Josef zasnął na moment. Walenty starał się ściągnąć mu buty, ale ten wiercił się niespokojnie. Płakał przez sen, wypowiadał niezrozumiałe sylaby i wyrazy. W końcu był bliski przebudzenia. Jego słowa stały się wyraźniejsze:

- *Odejdź, przekłety sukinsynie... Litości!*

Josef obudził się i odruchowo kopnął Walentego w bark. Ten zawył z bólu i upadł blisko krawędzi stogu.

- *Demony... Parszywce!* - wrzeszczał Josef. Rzucił się po całym posłaniu.

Walenty doskoczył do niego, przykrywając usta swoją ciężką dłonią;

- *Cicho, bo zaraz przyjdzie gospodarz! Spokojnie, źle sny pana męczą... Znowu ta dziewczynka na drucie?*

Josef zaprzeczył otrzeźwiony:

- Tym razem człowiek ze stopami.

- Nie rozumiem.

- Możesz nie kojarzyć tego. - Josef złapał się za głowę. - Paskudna historia. Jeden z więźniów miał długie samotne stanie o gołych stopach na śniegu. Zimno było jak teraz. W końcu wzięliśmy go do swojego budynku. Nogi miał już twarde jak kamienie. No to Fischer... Wiesz który?

- Wiem - odparł beznamiętnie Walenty.

- Fischer wziął młotek i łup w stopę. A ten człowiek już nawet nie czuł, rozumiesz? Śmiało się do łez. Fischer walił go młotkiem po tych stopach, a gdy rozkruszyły się jakby były z betonu, więzień zwałił się na podłogę. Żył jeszcze... Śni mi się czasem. Po co ten Fischer go wtedy tym młotkiem, no po co? Przekłeta wojna. A ja kiedyś byłem pisarzem, nawet poetą. Wrobili mnie w tę wojnę, to straszne. Hej, Polaku...

- No?

- Jak tu siedzimy, my dwaj... Czasem wydają mi się, że właśnie my dwaj należymy do zupełnie innego świata, oddzielonego od wojny, od tej cholernej przeszłości; że w międzyczasie, tu w tej stodole udało nam się uciec do jakiejś innej rzeczywistości.

- Nie bardzo rozumiem, panie komendancie.

Już nic nie mówili. Josef przykrył się po uszy starą kufajką, otrzymaną od Jana. Noc miał niespokojną. Co chwila jakieś wspomnienie prosiło o audiencję.

Rankiem Josef zaskakująco nieśmiało skinął na Walentego:

- Napisałem tu kilka zdań. Przetłumacz je na polski, podpisz moim imieniem i daj jej.

Walenty otworzył zdziwiony zgiętą kartkę, a tam wyczytał:

"Zgaś moje oczy: będę widział ciebie,

zatrzaśnij uszy: będę ciebie słyszał,

Nieważne, jakież skrzypek dzierży nas w swej dłoni,

Słodka Pani, ranisz me serce skrzydłami.*

Twój Josef"

Walenty spojrział badawczo na Josefa:

- *To wiesz... Nie rozumiem go. Jak mam to przetłumaczyć?*

- *Po prostu, słowo po słowie. No! Pisz! A jak się dowiem, że coś zmieniłeś, to cię zamorduję, słyszysz? No, dalej. To ostatnia czysta kartka jaką mam.*

Walenty skinął głową i po krótkim namyśle napisał:

" Bardzo mi się podoba twoje serce i ciało. Tęsknie by zagrać na nim jak na skrzypkach. Józek."

- *Już? Tylko tyle? Mam nadzieję, że ładnie. No to idź do niej, tak, aby stary nie widział* - burknął Josef, po czym znów wgramolił się na siano.

Walenty wyszedł na podwórko, czując jednak, że Josef zlął ze stogu i obserwuje go przez szparę w drzwiach.

Ewa akurat karmiła kury.

- Józek chciałby wysłać list do żony - wyjaśnił spokojnie, wręczając Ewie kartkę ze swoimi bazgrołami.

- On ma żonę? Co mam z tym zrobić?

- Może sprawdziłabyś, czy błędów nie ma. Kiepsko Józkowi idzie z pisaniem, a i ja nie jestem orłem w tych sprawach.

Ewa uśmiechnęła się i zaczęła czytać.

- Musi ją bardzo kochać - rzekła po chwili rozbawiona. - Romantyczne jak diabli. Skrzypki pisze się inaczej. Reszta w porządku - oddała list Walentemu.

- To może panienka poprawić od razu. I dopisać jakieś zdanie z pozdrowieniami. Zwykle "tęsknie" czy coś takiego, ale żebyśmy wiedzieli, jak to się pisze.

- Myślę, że jego żona nie będzie zwracać na to uwagi.

- Ale bardzo proszę...

Ewa zamyśliła się i poszła do domu z listem. Po chwili wróciła:

- Dopisałam "tęsknię i całuję". Wystarczy?

Walenty podziękował uprzejmie: ten jeden raz rozmawiali w miarę przyjaźnie.

Natychmiast poszedł z listem do Niemca. Zastał go na stogu, ale był pewny, że dopiero co podglądał reakcję Ewy.

- *Masz odpowiedź* - rzekł Walenty.

- *Co napisała?* - zapytał jakby od niechcienia.

- *Że dziękuje i cię całuje.*

- *Tak?*

- *Była bardzo szczęśliwa, mogłeś patrzeć.*

Twarz Josefa rozjaśniła się, jakby wbrew niemu.

- *To dobra dziewczyna* - rzekł Josef, przeglądając list, którego nie rozumiał.

- *Pewnie* - rzekł Walenty i pomyślał, że Niemiec jednak zwariował.

Josef, po dłuższej chwili rozmarzenia, stwierdził:

- *Musze jej wyznać, że jestem Niemcem, ale nie żadnym nazistą. Na wojnie w sumie zajmowałem się pracą kancelaryjną. A kiedyś byłem dziennikarzem i pisarzem, czasem też poetą. Mój wiersz ukazał się w „Przeglądzie Norymberskim” na szóstej stronie. Nie jestem też głuchoniemym. Powiem jej, że zabiorę do Karlsruhe. Mam tam znajomych, którzy pomogą: doktora Lange, ciotkę Rosamundę...*

- *Ewa wie o tym. Powiedziałem jej.*

- *Wie?* - Josef podskoczył na miejscu rozpromieniony. - *Więc mogę z nią porozmawiać? Chciałbym z kimś porozmawiać, o czymkolwiek, o pogodzie. Nie tylko z tobą, kłamiwy diable...*

- *Tak, wie* - odparł Walenty, nie zważając na obelgę Josefa. - *Ale na razie kazała ci się nie ujawniać, żeby stary się nie dowiedział. Musi to z nim załatwić spokojnie...*

Rozmawiali jeszcze długo. Walenty pięknie kłamał, niemal sam we wszystko uwierzył.

Zbliżał się wieczór.

Josef leżał na swoim pościeliu i starał się drzemać, pomimo niepokojących go koszmarów. Walenty pokrząła się bez celu po podwórku, a potem poszedł za stodołę.

Nagle usłyszał krzyk Ewy.

Wyszedł zza budynku, ale natychmiast cofnął się dwa kroki.

Oto człowiek z obozu - pomyślał Walenty, chociaż młody mężczyzna, który obejmował Ewę miał na sobie zwykle robotnicze łąchy, a nie pasiaki; lekkie buty, a nie chodaki; i żył, a nie leżał na martwej górze kości.

- Oto człowiek z obozu- szepnął Walenty. - Cóż, na mnie już chyba pora.

Ewa krzyknęła w stronę domu:

- Wojtek wrócił! Wojtek wrócił!

Powiedziawszy to, upadła przed mężczyzną, dotykając kolanami w szarych rajtuzach zaśnieżonej ziemi. Objęła nogi Tego, Który Wrócił z obozu.

Mężczyzna zaczął płakać i nachylił się nad Ewą, jakby chciał ją podnieść, ale ona nie miała siły. Klęczała przed nim, niewiarygodne napięcie ostatnich miesięcy zaczęło ją opuszczać.

Z domu wyszedł Jan, rozglądając się ostrożnie i bojąc, że słuch z niego zdrwił. Widząc Wojciecha, rozłożył ręce jak do modłów, trwał tak kilka sekund.

- Synu - wykrztusił i podszedł bliżej.

Walenty uważał przeżycie każdego dnia przez siebie za ciężką harówkę, więc taka scena nie rozczuliła go. Nie czekał dłużej. Przemknął przy ścianie i wszedł do stodoły. Od progu doskoczył do Josefa:

- *A ty jeszcze nie ubrany?!*

- *Co? Co się tam dzieje? Jakieś krzyki...*

- *Nie pytaj się głupio. Twoja rodzina przyjechała! Wszyscy są! Z Ulm, Wahlheim, Karlsruhe. Czekają na ciebie!*

- *Na mnie?* - Josef wytrzeszczył oczy.

- *Ewa ich przyjęła, zbieraj się szybko!*

Josef przysiadł zdziwiony:

- *Powoli, mówże, co się dzieje?*

- *Nie zgrywaj się! Przecież się żenisz! Wszystko gotowe! Stary przekaze ci pół gospodarstwa, Ewa w stroju ślubnym! Przebieraj się szybko! No co? Co robisz taką głupią minę? Nie pamiętasz, jak się oświadczyłeś?*

Josef zbladł, coś go ścisnęło w gardle. Chciał wyrzeć przez szparę w drzwiach, ale Walenty pchnął go w przeciwną stronę, gdzie mieli wiadro z wodą i miskę.

- *Umyj się, człowieku! Raz się żenisz! Ewa już gotowa! Na co czekasz, szybciej. Rozbieraj się!*

- *A garnitur ślubny?*- zapytał z trudem zbierając myśli.

- *Już kupiony. Zaraz ci przyniosę. I buty jak sto pięćdziesiąt, czarne, dyrektorskie. No, rozbieraj się. Nogi sobie umyj.*

- *Hej... - zawołał jeszcze do odchodzącego Walentego: - Jaki mamy dziś dzień?*

- *Dzisiaj? - Pomyślał chwilę. - Czternasty luty. Właściwie to moje imieniny, panie komendancie...*

- *Walenty, tak? Hm... A wiesz, że święty o twoim imieniu to patron obłąkanych?*

- *Wiedziałem, że ktoś nimi musi zarządzać - zripostował.*

Uśmiechnęli się do siebie. Josef zjął koszulę, spodnie i buty. Został w samych kalesonach, przemijając się w lodowatej wodzie.

- *Może to być? - uśmiechnął się. - O losie drogi... Wreszcie zasłużony spokój, żona, rodzina, pięknie, pięknie... Ej, bydlaku, przynieś mi garnitur, szybko! I wypastuj buty! Co się guzdrzesz?! Postaraj się, a nie pożałujesz!*

- *Idę już, idę. Chwila...*

Walenty wziął stary kozuch, który Josef dostał swego czasu od Jana, a pod pachę dołożył buty Niemca.

Wyjrzał przez szparę w drzwiach. Nikogo nie było na podwórzu, wszyscy weszli do domu.

Walenty nie zastanawiał się. Serce mu kołatało, pokraczne nogi ugiwały się jeszcze dziwniej niż zwykle, myśli goniły jedna drugą: najpierw za stodołę - zimno, psia krew, szybko, przez płot, do lasu, do lasu, buty mam, nie zginę, psy szczekają, ktoś mnie obserwuje, nie- chyba wydawało mi się, teraz już licho nic nie robi, w lesie spokój, uciec, uciec stąd, bezdomny może mieć wszędzie swój dom i grób, przeżyć; wszystko, by tylko przeżyć najbliższy dzień, godzinę, kilka minut.

Josef zmarł po przemyciu się. Wytarł ciało sianem.

- *Gdzie ten sukinsyn?*

Niemiec doszedł do drzwi. Zdziwił się. W jego stronę zmierzała Ewa, w swojej zwykłej docieplonej kamizelce i spódnicy. Obok człapał stary i jeszcze ktoś.

- *Panie Walenty! - krzyknął Jan wesoło. - Panie Walenty, wyjdźcie obaj! Wielkie szczęście dziś w domu! Syn wrócił, syn!*

Szli powoli. Wojciech oglądał gospodarstwo, obejmował przy tym Ewę, która mu wyjaśniała, co działo się podczas jego nieobecności.

Jan otworzył drzwi od stodoły. Josef stał w brudnych kałesonach.

- O, jest tylko Józek, głuchoniemy - stwierdził Jan.

Wojciech podszedł do niego:

- Witaj, jestem Wojtek.

- To na nic, on nie rozumie.

- Rękę wyciągniętą każdy rozumie- odparł śmiało Wojciech.

Josef spoglądał na wszystkich badawczo:

- *Kim pan jest? Gdzie mój garnitur?* - zapytał.

Otworzyli szeroko oczy.

- Co on mówi? Szwab? - wydusił Jan.

Ewa przywarła do Wojtka:

- Czuję, że coś z nim jest nie w porządku. Wyrzuć go stąd.

Stali jednak w bezruchu, zbyt zszokowani.

- *Co się tu dzieje? Ewa, oni dziwnie na mnie patrzą...*

- Coś mówi do ciebie- zdziwił się Wojciech.

- Czego chcesz? - zapytała złowrogo Josefa.

- *Ewa...* - wypowiedział łagodnie jej imię.

Wojciech tymczasem zbliżył się do Josefa i dotknął jego twarzy pokrytej krótką szczeciną zarostu:

- To niemożliwe. Nie... To przecież... - odwrócił przerażoną twarz do Ewy i Jana, szepcząc: - Ja go znam!

Odszedł na kilka kroków i wskazał palcem:

- To Josef Werter! Zastępca komendanta obozowego.

- Zastępca... - Ewa nie była w stanie wypowiedzieć więcej.

- Nasz kat - dodał Wojciech cały blady. - Miał jeszcze swojego wiernego psa... Był taki kapo o imieniu Walenty. Ludzie!- wykrzyknął nagle i wybiegł na podwórko. Złapał widły oparte o oborę i ze strasliwym bólem w głosie zawył: - Ludzie! Chodźcie tutaj, pomóżcie, bo oszaleję!

Walenty, z tymi swoimi cudacznymi nogami, które tym zabawniej wyglądały w biegu, znalazł się wreszcie na skraju lasu. Tam już słyszał krzyki dobiegające ze wsi. Bał się, ale musiał podążać dalej.

Starał się trzymać skraju lasu, ale miał z tym trudności: a to jakiś rów kazał odbić kilkanaście metrów w głąb, a to wydawało mu się, że słyszy głosy ludzkie, a to szedł przez jakiś czas leśną ścieżką, która nagle zakończyła się w potężnej zaspie.

Gdy noc objęła wszystko, Walenty zrozumiał, że dalsze błądzenie tylko pogorszy sytuację. Usiadł przy jakimś drzewie, żeby odsapnąć chwilę.

Sięgnął po buty Josefa, które wcześniej przewiesił sznurkiem pod pachą.

- Ciemno, psia krew - zaklął, szukając dłońmi jakiegoś wybrzuszenia w skórze obuwia. - Jest coś, jest! Musi być.

Ucieszył się. Wyjął scyzoryk i rozdarł elegancki lewy but Josefa.

- Co to? - zdziwił się. Nie było tam pieniędzy. Tylko jakaś gruba błyszcząca kartka. Zbliżył ją do oczu, ale nie mógł wiele dojrzeć: - Jakieś zdjęcie, do licha ciężkiego...

Gdzieś zawyły wilki. Walenty wzdrygnął się. Przez głowę przeszła mu myśl o rozpaleniu ogniska. Sprawdził w kieszeni kozucha. Miał jeszcze zapalki.

Wyjął jedną i zapalił. Poświecił przy fotografii. Nie mógł uwierzyć: w ręku trzymał zdjęcie ślubne Josefa i Ewy. On - wysoki i postawny, w szykownym garniturze, ona w białej sukni, upiętej pod szyję.

Zapałka zgasła. Walenty rozejrzał się. Za późno. Pierwszy wilk sięgnął jego nogi, wbijając się w łydkę. Walenty instynktownie skulił ciało, ale wówczas dwa kolejne skoczyły na niego. Poczł jak kły zwierzęcia wrywają mu część policzka, jak topią się w jego ramieniu.

Jęknął rozpaczliwie, byle nie upaść, a tylko stać, szarpać, kopać, uciekać na drzewo.

Wszystko nadaremnie.

Wataha już rozszarpała mu ręce, gryzła szyję, dobierała się do twarzy. A Walenty ciągle myślał: co zrobić, gdzie uciec, jak przeżyć dzień, godzinę, tych kilka minut.

Josef nic z tego nie rozumiał: co ci ludzie krzyczą, gdzie są jego znajomi z Ulm, Wahlheim, Karlsruhe, dlaczego Ewa nie ubrana w strój weselny, gdzie ten bydlak Walenty z garniturem, wypastowanymi

butami? Jak przyjdzie, porządnie trzeba go obsztorcować.

Nie wiadomo kiedy, zjawili się kilku młodzian. Z dużą gwałtownością wypchnęli Josefa, ciągle będącego w samych kalesonach, na podwórze, a potem na drogę. Zebrało się mnóstwo ludzi, krzyczeli, popychali, rwali włosy, machali sztchetami z nabitymi gwoździami.

- *Spokojnie, Ewa, co się tu dzieje? Walenty, gdzie mój garnitur?!*

Nadjechał skądś zdobyty motor niemiecki z bocznym wózkiem. Ewa szybko zajęła w nim miejsce.

- *Gdzie jedziemy?* - pytał łagodnie Josef. - *Nie znam waszych zwyczajów weselnych.*

Przewiązali mu nogi powyżej gołych kostek liną włókienną, a linę żwawo zaczęto przymocowywać do motoru.

Mężczyźni wiwatowali, dopingowali, kobiety stały z tyłu mniej rozbawione. Miejsce przy kierownicy zajął właściciel pojazdu, jakiś młody osiłek, a z tyłu usiadł Wojtek.

- *Dajcie mi się ubrać. Ewa, ten osioł spóźnia się z garniturem! Hej, ludzie...* - Josef stał wyprężony i napięty, wypuszczał słowa bez lęku w głosie.

Zrobiło się duże zbiegowisko, cała wieś otoczyła Josefa. Kilku mocowało się z liną. W końcu odstąpiono od motocyklu, zostawiając miejsce do przejazdu.

- *Ewa, zimno mi...* - rzekł Josef i patrzył dalej wzruszony. Ogarnął go niezwykle podniosły nastrój. Widział, że dziewczyna śmiała się, bawiła. To dobrze, pomyślał. Trzeba się radować w takiej chwili. - *Nasza miłość jest mocniejsza niż nasze narody, niż moja nieprzyjemna przeszłość, którą zapomnimy. Wrobili nas sukinsyny w tę wojnę! Ja też byłem kiedyś poetą, jestem nim cały czas. Napisałem wiersz opublikowany w „Przeglądzie Magdeburga” na trzeciej stronie...*

Motocykl ruszył z impetem wśród śmiechu i wołań ludzi ze wsi.

* Właściwie to bełkotliwie pomieszane i zniekształcone przez Josefa fragmenty wierszy Rainera Marii Rilkego - "Zgaś moje oczy" przeł. Andrzej Lam, "Pieśń miłosna" przeł. Dariusz Guzik, "Poeta" przeł. Dariusz Guzik.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.